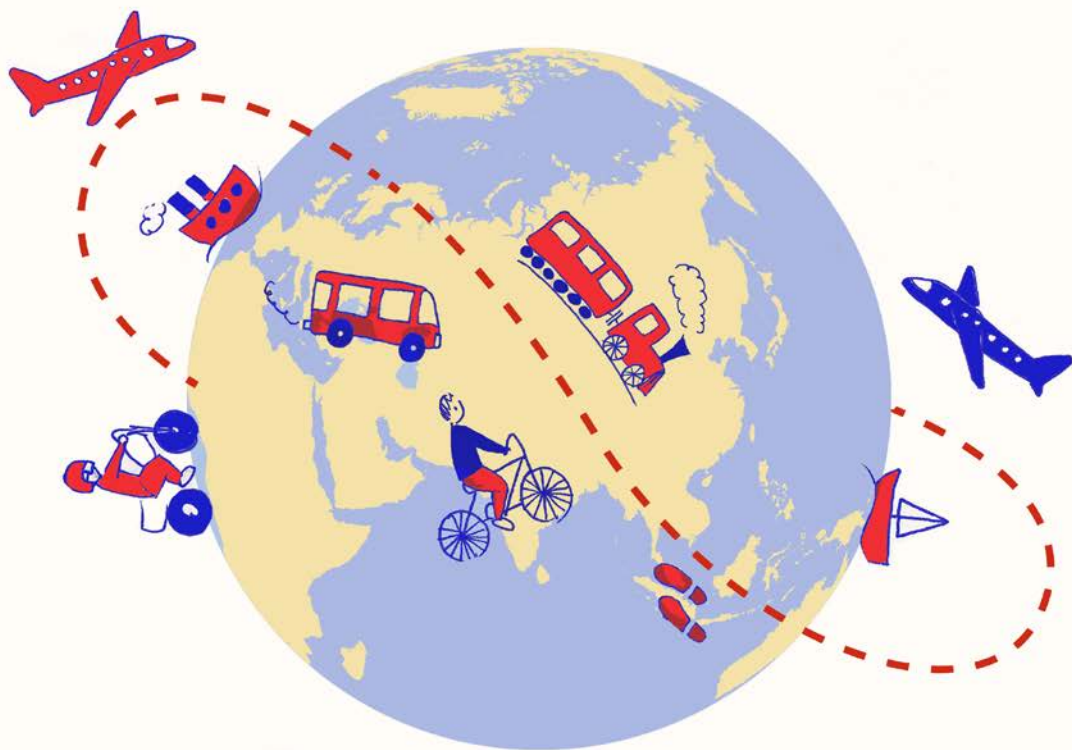


w cztery strony świata

Grzegorz Zaleski



Grzegorz Zaleski

W CZTERY STRONY
ŚWIATA



© Copyright by Grzegorz Zaleski & e-bookowo
Fotografie: Joanna i Grzegorz Zalescy
Projekt okładki: Aleksandra Twardokęs
ISBN 978-83-7859-082-8

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Patronat medialny:

Twójakultura.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2013

Spis treści

Wstęp	5
Uzbekistan – Kierunek sukces, rezultat zwycięstwo.	7
Kazachstan – Człowiek na torach	26
Rosja od zmierzchu do świtu	36
Mongolia najładniej wygląda w galopie	43
Chiny – imperium w czerwonym kolorze	53
Szanghaj powraca do przyszłości	64
Chiny – w górę Jangcy	72
Chiny – osiem dni w Tybecie	84
Hong – Kong i Makau	98
Wietnam z góry na dół	109
Kambodża – niech stanie się tak, jak gdyby nic nie było	122
Planeta Indie	133
Birma wśród nocnej ciszy	148
Borneo – w sercu dżungli	159
Indonezja – Archipelag Tysiąca Wysp	169
Peru – nie tylko Machu Picchu	181
Boliwia blisko nieba	193
Argentyna – wino, kobiety, śpiew i... konie	203
Paragwaj – w sercu Ameryki Południowej	212
Argentyna – boskie Buenos Aires	220
Porady praktyczne	229

Podpisy do zdjęć pod tytułami rozdziałów znajdują się na końcu publikacji

WSTĘP

Próbuję sobie wyobrazić pierwszego w historii ludzkości podróżnika. Znużony nieustannym siedzeniem na drzewie, spogląda na ziemię i rozmyśla, jak wygląda świat z innej strony. Nie bez trudności schodzi z legowiska, urządza sobie przechadzkę, po czym wraca do swoich zarośniętych towarzyszy i zaczyna za pomocą dziwnych min i gestów opowiadać im swoje przygody.

Po co w ogóle zszedłeś z drzewa? – nie mogą nadziwić się koledzy z jednej gałęzi.

Ot tak, z ciekawości – odpowiada nasz bohater.

Od tego czasu dokonało się wiele epokowych wypraw, z których powstało mnóstwo fantastycznych książek. Motywy działania pozostały jednak te same : zobaczyć co czai się za rogiem, a później wrócić i o tym opowiedzieć.

Nie należymy do grona wielkich odkrywców, naukowców – pasjonatów, ani wiecznych wagabundów. Po prostu pewnego dnia postanowiliśmy przemierzyć sobie świat dookoła. Mimo to czujemy się wyjątkowo spośród osób, które wciąż boją się zrobić pierwszy krok w stronę nieznanej przygody.

Dla nich właśnie powstała ta książka. Staralem się jak najbarwniej i jak najciekawiej opisać to, co stało przed naszymi oczyma podczas wspaniałej dziesięciomiesięcznej podróży. Mam nadzieję, że dzięki temu udało mi się w erze wirtualnej rzeczywistości pokazać realny świat jako wciąż fascynujące

i zdumiewające zjawisko. Być może dzięki temu po przeczytaniu tej książki podejmiecie również ową jedną szaloną decyzję, która odmieniła całe nasze dotychczasowe życie.

Wszystkie relacje były już wcześniej publikowane na bieżąco w serwisach www.gazeta.pl, oraz www.naszemiasto.pl. Stare pisarskie porzekadło brzmi jednak, że pisze się raz, aby później już tylko przepisywać. Wszystkich tych, którzy mieli więc wcześniej styczność z naszymi tekstami chcemy zapewnić, że teraz po prostu są jeszcze lepsze...

Całkowicie świeże są natomiast porady praktyczne zawarte pod każdym podrozdziałem, jak i w osobnym rozdziale na końcu książki. Pod każdym podrozdziałem zamieściliśmy adresy agencji turystycznych, sprawdzone hostele, i inne przydatne informacje dotyczące wyżej opisanego kraju. Część z nich być może w tej chwili traci na aktualności, będziemy jednak szczęśliwi gdy choć jedna przyda się komuś w podróży. W rozdziale „PORADY PRAKTYCZNE” na końcu książki zawarliśmy natomiast ogólne wskazówki ważne podczas całej naszej podróży. Nie chcemy bynajmniej zamieniać się tutaj w wujków i ciocie „Dobra Rada”, jednak sami z uwagą słuchaliśmy przed wyjazdem innych podróżników, nie mając bynajmniej ochoty wyważać wcześniej otwartych drzwi. Grzechem byłoby więc teraz nie podzielić się bogatym doświadczeniem, które zebraliśmy podczas trwania całej naszej wyprawy.

Do zobaczenia w drodze.

Asia i Grzegorz Zalescy

UZBEKISTAN
– KIERUNEK SUKCES,
REZULTAT ZWYCIĘSTWO



Gościnny Uzbek i śpiąca kasjerka

Po dokładnej kontroli na lotnisku (łącznie ze zmianą obuwia na szpitalne, foliowe kapcie) wsiedliśmy do samolotu linii Air Uzbekistan, lecącego z Moskwy do Taszkientu. Tak, nam też nazwa linii lotniczej od początku wydawała się egzotyczna i lekko napawała strachem. Tymczasem – nic z tych rzeczy. Na miejscu okazało się, że samolot jest produkcji amerykańskiej, załoga doświadczona, a posiłek serwowany na pokładzie zdeklasował inne linie lotnicze – w tym znanych, zachodnich potentatów z branży. Wszystko byłoby więc pięknie, gdyby nie nasz sąsiad, kompletnie pijany Uzbek, który w karykaturalny sposób przejawiał narodową gościnność. Uzbek chciał mnie poczęstować wszystkim, co miał, czyli dokładnie starą gumą do żucia wyjętą z wymiętej kieszeni, natomiast w rewanżu domagał się skosztowania mojego obiadu z winem w pierwszej kolejności. Szczęśliwie lot trwał tylko cztery godziny i obyło się bez poważniejszych starć.

Po wylądowaniu nie mieliśmy czasu na kulturową aklimatyzację, ponieważ zaraz po przekroczeniu bramek kontroli paszportowej wyszliśmy prosto na ulicę w objęcia taksówkarzy gotowych przewieźć nas gdziekolwiek, byle za dolary. Wokół żadnych kantorów, jedyny znajdował się w hali odpraw, do której można się było dostać tylko... z biletem wylotu z Uzbekistanu. Trzeba było więc włączyć tryb kombinowania, pogadać z ochroniarzami, dostać się do kantoru, obudzić śpiącą w nim kasjerkę i wymienić sto dolarów na zawrotną sumę stu sześćdziesięciu tysięcy sum, potwierdzonych zawodowym certyfikatem. Niedługo potem miałem się dowiedzieć powodu niezmaczonego snu paniarki w kantorze. Otóż na każdej legalnej wy-

mianie traciliśmy około trzydziestu procent w porównaniu z czarnym rynkiem. Wymiana czarnorynkowa jest podobno nielegalna i podobno można za nią trafić do więzienia, dlatego warto znaleźć kogoś zaufanego do tej operacji. Dzięki odrobinie szczęścia także i my dokonaliśmy udanej transakcji – ale gdzie i z kim, tego już nie mogę napisać.

Pan X nas ratuje

Pierwszy dzień zaczął się pod szczęśliwą gwiazdą. W toalecie lotniskowej spotkaliśmy Pana X, który przyjechał pożegnać rodzinę przed jej odlotem. X (anonim stosujemy, żeby oddać atmosferę podejrzliwości i nie mieszać naszego gospodarza w momentami krytyczną dla władz relację) tak się zdziwił, że w ogóle udało nam się dostać do Uzbekistanu, że potraktował nas jak przybyszów z kosmosu, których trzeba nauczyć oddychania tlenem. W zasadzie nie do końca rozumieliśmy jego zdziwienie, ponieważ uzyskanie wizy do tego kraju było dość łatwe i nic nie stało nam na przeszkodzie, żeby się tutaj znaleźć. Niemniej jednak zatroskany Pan X zabrał nas do swojej willi – pałacu, poczęstował kawą i kilkoma słowami wprowadził w sytuację. Po pierwsze potrzebowaliśmy rejestracji, której Uzbegy wymagają na każdą spędzoną w kraju noc. Podobno za brak rejestracji mogli nas wsadzić do więzienia i podobno nikt nas już z niego nie mógłby wyciągnąć bez płacenia haraczu idącego w tysiące dolarów – bo milicja to tutaj świętość, w dodatku żyjąca głównie z łapówek. Po takim naświetleniu sprawy przez Pana X od razu udaliśmy się do sprawdzonego hotelu po uzyskanie Bardzo Ważnego Świstka Papieru. Prawda jest taka, że milicji w Taszkencie jest rzeczywiście mnóstwo. To prawdziwa rzesza śmiertelnie znudzonych ludzi, pilnujących prawie każdego krzaka. Oczywiście wzbudzaliśmy ich zaciekawienie,

ale żaden nie zapytał o rejestrację i oprócz nieswojego uczucia nic przykrego nas nie spotkało.

Uzbekistan to prywatne państwo, oświadczył następnie X. Obecny prezydent dzierży władzę nieustannie od czasów uzyskania niepodległości, hojnie opłacając tajne służby i wojsko. Pieniądze z wszystkich interesów w kraju idą do prywatnej kabzy kilku rodzin, a kto się nie podporządkuje – może pako- wać manatki (Uzbekistan to chyba jedyne państwo, w którym nie ma koncernu Coca-Coli. Napój coca-cola jest, ale produkowany przez Uzbeków, którzy koncern wyrzucili i przejęli linię produkcyjną. Tak przynajmniej twierdził X, a jak jest naprawdę nie wiemy. Faktycznie coca-cola to jedyny zagraniczny napój dostępny na uzbecką kieszeń, wszystkie pozostałe pochodzą z przemytu i nawet dla nas wydawały się drogie).

Amir Timur bohaterem narodowym

Sam Taszkient oprócz ciekawego metra, którym prawie nikt nie jeździ, nie ma zbyt wiele do zaoferowania. Jedynym miejscem mogącym zaciekać jest pomnik Timura oraz znajdujące się obok muzeum poświęcone jego osobie. Amir Timur (w tu- tejszym języku Generał Żelazo) był wodzem, który wychodząc z Samarkandy na przełomie XIV i XV wieku podbił ogromne terytoria i zyskał przydomek Władcy Trzech Kontynentów: Azji, Europy i Afryki. Z całym szacunkiem dla dokonań Timura – nazwa ta jest nadana sporo na wyrost. Tak naprawdę z Afryki zdobył jedynie Egipt, a z Europy doszedł do Rusi Kijowskiej. Uznanie jednak należy mu się niewątpliwie za to, że ucywilizował jedwabny szlak na terenie Uzbekistanu, czyniąc Khivę, Bucharę i Samarkandę jednymi z najważniejszych miast na owej trasie. Obecny prezydent Karimov zdaje się wielbić Timu- ra: „Zrozumieć wielkiego wodza Timura, to odnaleźć źródła

narodu uzbeckiego". Dla mnie to hasło oznacza jednak, co innego: „Umarł król Timur, niech żyje król Karimov...”. Tyle, że we współczesnych czasach wielkość państwa mierzy się dobrobytem jego obywateli, a nie ilością stawianych pomników.

Stoimy przed obliczem wszechmocnej bileterki

Z Taszkientu do Buchary postanowiliśmy pojechać nocnym pociągiem, aby zaoszczędzić pieniądze na hostelu (noc w pociągu, to noc zaliczona bez konieczności rejestrowania się). Sama jazda przebiegła spokojnie i nieprawdą okazała się informacja przeczytana w Internecie, że najgorsze na świecie są **uzbeckie koleje**. Wydarzeniem samym w sobie było natomiast kupowanie biletu w dworcowej kasie. Kiedy przyszlismy wokół utworzyła się już nie kolejka, ale zbita ciżba ludzi z paszportami i potężną liczbą sumów w każdej ręce. Nie sposób było zgadnąć, kto jest ostatni po bilet. Po prostu każdy musiał pamiętać, kto po kim przyszedł i w ten sposób pilnowano porządku. Przed kasą panowała nabożna cisza, a cała uwaga wyczekujących skupiona była na pierwszym petencie. Jego uwaga natomiast skupiona była na palcach bileterki wystukujących sms-a na leżącej na stole komórce. Gdy tylko komórka powolnym ruchem ręki została odłożona na bok, paszport i pieniądze „**pierwszego**” lądowały pod nosem kasjerki zmuszając ją wreszcie do rozpoczęcia żmudnego procesu sprzedaży biletu. Wówczas ciżba napierała jeszcze mocniej mając nadzieję, że to przyspieszy sprawę. Nic z tych rzeczy! Przecież adresat sms-a wysłanego przed chwilą musiał pilnie oddzwonić... Ta scenka rodem z Mroźka uświadomiła mi jak my – Polacy w ciągu ostatnich dwudziestu lat zdołaliśmy przesunąć się w stronę normalnego życia.

Buchara z baśni Tysiąca i Jednej Nocy

Buchara – pierwsze z trzech miast na jedwabnym szlaku – ukazała mi się taką, jaką sobie wymarzyłem jeszcze przed wyruszeniem na wyprawę: dostojne meczety i medresy rodem z „Baśni Tysiąca i Jednej Nocy”, przemykające po rozpalonych słońcem ulicach pojedyncze sylwetki mieszkańców i cisza, przerywana jedynie szelestem wiatru. Cisza, spokój i brak turystów zaczęły mnie jednak po pewnym czasie trochę zastanawiać. Zapytawszy w końcu o przyczynę takiego stanu rzeczy dowiedziałem się, że przyjechaliśmy poza sezonem, który w Uzbekistanie trwa od kwietnia do maja i od sierpnia do września – a to za sprawą szalejących w lecie upałów. Rzeczywiście czterdzieści stopni w cieniu dawało się we znaki, ale wkrótce mieliśmy się przekonać, że to jeszcze nie jest szczyt możliwości uzbeckiego klimatu.

Zabytki Buchary nie zaimponowały nam swoim wiekiem – najstarsze pochodzą z XIV, a najmłodsze z XIX wieku. Mimo to ciągłość tradycji architektonicznych powoduje, że ma się wrażenie obcowania w starożytnym mieście sięgającym swą historią tysięcy lat. Najbardziej zdumiewające są medresy – swego czasu największe i najważniejsze ośrodki nauczania w całej centralnej Azji. Uczniowie przychodząc w wieku piętnastu lat, uczyli się w medresie tak długo, dopóki nie zdali wszystkich egzaminów (średnio zabierało im to dziesięć lat). Ich sposób życia był prosty, ale sprzyjający przyswajaniu wiedzy. W przerwach między modlitwami uczyli się w swoich pokojach lub słuchali mistrza siedząc pod drzewem rzucającym cień na dziedziniec. Obecnie niektóre medresy przywracane są do celów edukacyjnych i może to być ciekawa alternatywa dla kiepsko działającego systemu szkolnictwa w Uzbekistanie.

Całe życie toczy się na dziedzińcu

Niestety, ze względu na obowiązek hotelowej rejestracji, nie mogliśmy skorzystać z couchsurfingu, który zresztą w innych miastach poza Taszkientem praktycznie nie istnieje. Jedyną, ale dobrą alternatywą dla hoteli jest sieć gościńców typu B&B prowadzonych przez bogatsze rodziny, posiadające domy z patio i większą liczbą pokoi. W ten sposób można nieco podpatrzeć życie mieszkańców, które latem cały dzień toczy się na dziedzińcu. Według tradycji i z praktycznych powodów najmłodszy syn ma obowiązek żyć w jednym domu z rodzicami i opiekować się nimi do końca ich dni. Do zadań najmłodszej synowej przez rok po ślubie należy zamiatanie i oporządzanie podwórza. Potem zajmuje się ona głównie dziećmi. Nasz gospodarz w wieku około 23 lat był już więc poważnym ojcem, mężem oraz opiekunem własnych rodziców.

Cała rodzina w ciągu dnia przemykała tylko przez rozgrzane słońcem podwórze, aby w końcu wieczorem rozsiaść się gromadnie na świeżym powietrzu i wspólnie zjeść kolację. Na dziedziniec wniesiono dywany (Uzbecy rzadko spożywają posiłek przy tradycyjnych stołach), poduszki i kołdry, (do oparcia się a potem do spania); na środku rozłożono biały obrus, a na nim jedzenie. Jedno z okien domostwa otworzono tak, aby z podwórka łatwo można było oglądać telewizor postawiony w pokoju, na wysokim stoliku. W ten sposób i my obejrzelśmy jeden z meczów mistrzostw świata w piłce nożnej.

Uzbecy jeżdżą na gazie

Droga z Buchary do Khivy rozdziela na potężnej pustyni Kyzyl-Kum dwie oazy, w których życie możliwe jest jedynie dzięki podziemnym wodom. Linii kolejowej na tym odcinku nie wytyczono, podróż autobusem bez klimatyzacji w sześćdziesięcio-

stopniowym upale może skończyć się ugotowaniem na twardo, zatem jedynym rozsądnym rozwiązaniem jest specjalny transport pod nazwą „shared taxi”.

Podjechaliśmy taksówką miejską na specjalny parking, z którego odjeżdżały taksówki „krajowe”. Już na parkingu podbiegł do nas młody jegomość krzycząc, że ma dla nas taksówkę dokądkolwiek chcemy pojechać. Zgodziliśmy się zatem pójść za jegomościem mając nadzieję na szybkie załatwienie sprawy. Podeszliśmy do kierowcy samochodu, który potwierdził gotowość do jazdy. Wrzucił nasze bagaże do bagażnika, usadowił na tylnym siedzeniu, po czym... odszedł spokojnie wypić herbatkę z kolegami. Po pół godziny czekania w palącym słońcu wyszedłem w końcu zdenerwowany do naszego kierowcy.

- Dlaczego nie odjeżdżamy? – spytałem grzecznie.
- Ano czekamy jeszcze na jednego pasażera – odpowiedział grzecznie.
- A nie możemy ruszyć bez niego?
- Możemy, ale wtedy musicie zapłacić za cztery osoby.
- Jak za cztery, jak czekamy tylko na jedną?
- Przewóz jest przy czterech, ale ostatecznie mogę pojechać przy trzech.

Zrezygnowany wróciłem do samochodu i uzbroiłem się w cierpliwość. Po dalszej pół godzinie przypomniałem sobie, że bądź co bądź to nie jedyny kierowca na parkingu. Rozglądnąłem się więc wokoło, szybko napotykając uśmiech innego kierowcy, oczywiście gotowego z marszu do jazdy. Po trzech zapewnieniach, że na bank wyruszymy od razu, postanowiłem zmienić kontrahenta. Wróciłem więc do pierwszego kierowcy i nakazałem mu oddać nasze bagaże. Trwało to dość długą chwilę, ale w końcu odzyskaliśmy swoje rzeczy. Afera zaczęła się jednak

wtedy, kiedy pierwszy kierowca zorientował się, kto mu podwędził klientów. Doszło do ostrej wymiany zdań, a w końcu do bójki, po której nasz nowy kierowca został dosłownie wygoniony z parkingu. Po rozprawieniu się z konkurentem Pierwszy kierowca zaprosił nas z powrotem do swojej gabloty. Załamani przyjęliśmy jego propozycję, tym bardziej, że wreszcie pojawiło się dwóch chętnych do wspólnej jazdy. Zaraz, jak to dwóch? Czyli, że musimy się przez całą drogę upychać na tylnym siedzeniu z roslym Uzbekiem? Nasz kierowca wzruszył ramionami powtarzając jak mantrę – możemy zawsze jechać sami wykupując taryfę VIP.

Przy tej okazji warto wspomnieć co nieco o uzbeckiej motoryzacji. Jej początki sięgają 1937 roku. Wówczas Stalin postanowił zebrać wszystkich Koreańczyków żyjących w Rosji i wysiedlić ich do Uzbekistanu oraz Kazachstanu. Koreańczycy jako naród silny przetrwali pierwsze lata, osiedlili się, a w końcu po upadku ZSRR nawiązali stosunki gospodarcze z nowym rządem i sprowadzili do Uzbekistanu markę Daewoo. Oprócz trzydziestoletnich Żiguli, Daewoo właśnie wraz z Chevroletem niepodzielnie rządzą na uzbeckich drogach. Nie wiedzieć dlaczego – wszystkie mają biały kolor i pomimo wszędobylskiego kurzu pozostają czyste. Kierowcy dokonują w swoich samochodach tylko jednego usprawnienia – zakładają instalacje gazowe. Albo robią to sami albo zlecają koledze, który choć trochę zna się na budowie silnika. Policji ten problem w ogóle nie interesuje. W rezultacie tego na ulicy powszechnym widokiem są nie tylko "zagazowane" osobówki, ale także minibusy (w nich butle umieszcza się na dachu), ciężarówki (mają założonych po 8 butli pod naczepą) a nawet autobusy. Ostatnio jedna z takich "bombek" wypełniona ludźmi wyleciała w powietrze siejąc większe zniszczenie niż atak terrorystyczny. Usprawiedliwieniem tego niebezpiecznego proceduru może być jedy-

nie brak paliwa. Na ulicach można zobaczyć kilometrowe kolejki samochodów czekających choćby na kilka litrów etyliny.

Drugim śmiertelnym zagrożeniem dla kierowcy oprócz gazowych pseudo-instalacji są w tym kraju drogi. Kto choć raz miał okazję z nich korzystać, już nigdy nie będzie narzekał na nasze – polskie. Półmetrowe dziury, wyboje, otwarte studzienki kanalizacyjne, to zwyczajowy tor przeszkód i prawdziwy test wytrzymałości każdego samochodu. Ale kiedy wydaje się, że po kolejnej dziurze, na którą wpadamy z prędkością stu kilometrów na godzinę, powinniśmy już rozpaść się na kawałki, nasze Daewoo sunie dalej wydając z siebie jedynie ciąg pisków i zgrzytów.

Miasto muzeum pośrodku pustyni

Do Khivy dotarliśmy kompletnie wyczerpani po pięciu godzinach przeprawy przez pustynię. Wbrew podróżniczym zasadom, zdecydowaliśmy się na pierwszy lepszy hostel podsunięty sprytnie przez taksówkarza. Był ogromny i prawie pusty. Brak sezonu zadziałał na naszą korzyść i zwyczajowe targowanie obniżyło cenę o jakieś czterdzieści procent. Po krótkiej drzemce i dwóch litrach wody na głowę byliśmy gotowi wynurzyć się z pokoju.

Khiva – niewielkie miasteczko zamknięte z trzech stron pustynią, a z czwartej granicą z Turkmenistanem, lata świetności jako przystań na jedwabnym szlaku ma już dawno za sobą. Wszystko co interesujące dla turysty mieści się w wewnętrznym starym mieście otoczonym obronnym murem. Zabytki wpisane w całości na listę światowego dziedzictwa Unesco, są zachowane lepiej niż w Bucharze. Honor należy oddać również Rosjanom, którzy w latach siedemdziesiątych przemienili Khivę w miasto – muzeum i przeprowadzili pierwsze prace

restauracyjne. Obecnie większość medres jest w bardzo dobrym stanie, lecz tylko kilka z nich spełnia swoje dawne przeznaczenie. Reszta stanowi atrakcyjną lokalizację dla hoteli i sklepów z pamiątkami. Tym bardziej zadziwia krótkowzroczność ówczesnych khanów, którzy nie szczędzili na swoje zbytki pieniędzy przeznaczonych pierwotnie na szpital, drogę czy szkołę. Jeszcze w 1717 roku czuli się na tyle silni, że wymordowali cztery tysiące rosyjskich żołnierzy, którzy przybyli na pomoc w walce z lokalnymi przeciwnikami. Sto pięćdziesiąt lat później Rosjanie zajęli miasto bez żadnego oporu, nie pozostawiając oczywiście dłużnymi za masakrę sprzed półtora wieku.

W Khivie poczuliśmy dopiero co to znaczy upał. Po raz pierwszy przekonałem się, że może być niebezpieczny dla zdrowia. Pojęcie sjesty, które w przypadku krajów południowej Europy wydawało mi się wykrętem od pracy, tutaj jest niezbędne dla prawidłowego funkcjonowania organizmu. Po mieście chodzić można od wczesnego rana do trzynastej, a następnie od siedemnastej do późnego wieczora. To nie oznacza, że w tym czasie spacerowanie należy do przyjemności. Już po pięciu minutach od wyjścia z pokoju obowiązkowo wyposażonego w błogosławioną klimatyzację, człowiek zaczyna się pocić jak w łaźni parowej i co za tym idzie – pochłania wszystkie zapasy wody. Bezwarunkowo trzeba mieć na głowie chustkę, kapelusz albo parasol w ręce, a najlepiej poruszać się jak szpieg z krainy dreszczowców, dotykając ciałem ściany rzucającej chociażby kilka centymetrów cienia.



Wzgórze Afrosiab w Samarkandzie.



Tak się w Uzbekistanie odświeża powietrze.

Kilka pytań na koniec

Zadawała nam je każda osoba, której opowiadaliśmy o swojej podróży. Może także wam po lekturze tej książki przyszły one na myśl. W takim razie z chęcią odpowiadamy.

Jak to się zaczęło?

Dzisiaj rano przeczytałem w Internecie artykuł o ludziach, którzy postanowili porzucić swoje dotychczasowe życie i wybrać się w roczną podróż dookoła świata. Po chwili zadałem sobie pytanie, czy sam mógłbym podjąć taką śmiałą decyzję i odpowiedź brzmiała – nie! To za długo jak na mnie, czułbym jednak nostalgię do bliskich, nie wiem jakbym sobie poradził z życiem po powrocie – wyliczałem bez trudu. Dla zabawy jednak wysłałem Asi link z artykułem. Po chwili dostałem odpowiedź – ach jak byłoby pięknie tak pojechać! Odpisałem prowokacyjnie, że przecież możemy bez trudu wyjechać będąc pewnym, że Asia potwierdzi za chwilę moje obawy. "To dobry pomysł – przeczytałem w odpowiedzi i całe moje spokojne nastawienie odpłynęło wraz z ostatnią literą tego rewolucyjnego zdania. Zacząłem się gorączkowo zastanawiać, czy ten pomysł jest rzeczywiście taki nierealny. Musiałbym rzucić pracę, którą lubię, ale przy takiej perspektywie zdecydowałbym się na ten krok.

Spotkałem się z Asią popołudniu w domu. Bez zbędnych słów podjąłem temat, który buzował mi w głowie podczas drogi powrotnej. Asia nie zmieniła zdania. Pozostało mi więc jedynie dopowiedzieć słowa tak, by stały się faktem. Klamka zapadła. Jedziemy.

Taki wpis umieściłem w pamiętniku dokładnie na rok i dwa miesiące przed wyjazdem. Wtedy był to jedynie kiełkujący po-

mysł zakochanych w sobie narzeczonych, po których spodziewano się, że po ślubie (nastąpił trzy miesiące później) postarają się o dziecko i będą żyli spokojnie jak Bóg przykazał.

Jak można rzucić wszystko i wyjechać?

Nie mogę powiedzieć, że za swoje marzenie zapłaciliśmy wysoką cenę. Nie zostaliśmy wykluczeni z rodziny, nie sprzedaliśmy mieszkania – słowem nie spaliliśmy za sobą wszystkich mostów, bez których powrót mógłby stać się bolesny, czy wręcz niemożliwy. Podziwiamy podróżników, którzy postawili w życiu wszystko na jedną kartę, ale nie wiem czy sami postąpilibyśmy tak samo. Porwaliśmy się na ten szaleńczy pomysł wiedząc, że stać nas na to. Czy w związku z tym nasze marzenie miało mniejszą wartość, a sama podróż nie warta opowieści? Nie wydaje mi się.

Ja rzuciłem przyjemną, ale mało perspektywiczną pracę. Asia jako niezastąpiony pracownik dostała zielone światło na powrót na swoje stanowisko pracy po zakończeniu wyprawy. Przed wyjazdem ten wentyl bezpieczeństwa wydawał nam się błogosławieństwem, obecnie powrót do dawnego kierunku zaczyna coraz bardziej ciążyć. Bo jak się po powrocie nie dokona w swoim życiu radykalnych zmian rzeczy, które wcześniej przeszkadzały, to tak jakby się w ogóle nie wyjechało. Dlatego obecnie staramy się całkowicie usamodzielnić i otworzyć własną firmę, co skalą problemów i stresów daleko przekracza najbardziej śmiałe podróżnicze eskapady.

Czego was ten wyjazd nauczył?

Nosimy w sobie wszystkie miejsca, które zobaczyliśmy, i wszystkich ludzi, których spotkaliśmy. Często zastanawiamy się z Asią, co porabia w tym momencie Saya Ag w Yangoonie, jak się mają nasi rosyjscy przyjaciele z Irkucka, gdzie teraz przebywa nasza tybetańska przewodniczka Dowa i jeszcze z tuzin innych postaci. Mamy teraz swój własny świat, znacznie ciekawszy, bogatszy, różnorodniejszy niż jednostajny krajobraz z dziesiątego piętra bloku na Mokotowie.

Dzięki temu nabraliśmy dystansu do wszystkiego co nas otacza. Warszawa nie wydaje się już tak wielka w porównaniu choćby z New Delhi, obowiązki aż tak nie obciążają po obserwacji pracy Chińczyków, ale przede wszystkim nasz kraj na tle świata, bogactwem się cieszy i wolnością się szczyci i jestem gotów mówić to każdemu, kto w mojej obecności zacznie narzekać.

No dobrze, ale ile was to w końcu kosztowało?

Powiemy, powiemy choć zawsze do końca bronimy się przed tym pytaniem. Po kilku godzinach snucia opowieści musimy odsłonić brutalną prawdę – do podróżowania potrzebne są pieniądze. Dużo pieniędzy. Po trzydzieści dolarów dziennie na głowę razy dwanaście miesięcy – łatwo sobie policzyć.

Dla tych, którzy w tym momencie łapią się za głowę jak można było "na wakacjach" przepuścić tyle forsy mamy jedną odpowiedź. Nie straciliśmy tych pieniędzy. Zainwestowaliśmy je w siebie i już odczuwamy jak rosną nasze akcje. Gdybyśmy mieli decydować jeszcze raz, bez wahania zrobilibyśmy to samo.